

Od autora: Ile dróg musi przejść człowiek, zanim nazwiesz go mężczyzną (Bob Dylan).

1. VICTOR

Było to w połowie pierwszej klasy liceum, wczesną jesienią, kiedy to po przybyciu do nowej szkoły poznawaliśmy się nawzajem i zawiązywaliśmy liczne znajomości, z których niektóre miały przetrwać całe lata, owocując przyjaźniami trwalszymi niż stal, będącymi wartością samą w sobie, nie do kupienia za żadne pieniądze tego świata.

Młodzieńcza intuicja rzadko się myli – każdy z nas wyczuwał szybko bratnią duszę lub kogoś, kogo należało omijać szerokim łukiem, albo też i takich, w których tkwiła jakaś niewypowiedziana tajemnica, prz dziwny mrok, spowity w zacięte, uporczywe milczenie.

Tak właśnie wyglądał przypadek Victora.

Przypadek osobliwy, nieprzeciętny.

To poniekąd o nim ta historia.

Gdzieś także i o mnie.

Jeśli istnieje zadanie nie do rozwiązania z wieloma niewiadomymi, on nim właśnie był.

Nie miałem pojęcia, co dzieje się w jego głowie. Z pewnością nic przyjemnego, skoro tkwiła w niej para smutnych, przerażająco przygnębionych, brązowych oczu, spoglądających na wszystko chłodno i bez emocji, jak gdyby nie było w nich wcale życia, była za to nieskończona pustka, jaką można dostrzec bez trudu na marmurowych twarzach posągów, i cierpienie, wyraźne, wyczuwalne, wręcz namacalne w swej dziwacznej głębi...

Nikt z nas nie lubił Victora.

Trochę się go baliśmy – nie jako człowieka, lecz jako tajemnicy.

Mało mówił, prawie wcale – tylko wtedy, kiedy musiał.

Kiedy pod koniec roku szkolnego odbieraliśmy z dumą i triumfem w oczach nasze świadectwa z dużym, kolorowym dyplomem za bardzo dobre wyniki w nauce, on jako ostatni z ostatnich, z pustką na twarzy brał w milczeniu to, co świadczyło boleśnie o tym, że daleko mu do nas, że jest mierny, słaby i jego nietęga głowa nie jest stworzona do nauki.

Pewnego dnia jeden z nas, Mac, przyszedłszy do szkoły, wyrzucił z siebie swobodnie potok słów:

- Wiecie kogo wczoraj widziałem w mojej okolicy?

- No kogo? Kogo? – odezwały się nagle ciekawskie głosy.

- Victora! Naszego Victora!
- No i?
- I złapałem go na tym, jak grzebał w śmietnikach i pakował coś do dużych, czarnych, foliowych toreb, które zawiązywał u góry sznurkiem. Wkładał tam butelki, papier i puszki po piwie czy innych napojach. Potem szedł z tym, objuczony jak jakiś wielbłąd, gdzieś przed siebie. Czyż to nie dziwne?
- No... - odpowiedzieliśmy, jeszcze nie wiedząc, co o tym sądzić.
- I kiedy już to popakował w te worki, to poszedł z tym, jak z jakimś skarbem. Miał w sobie coś ze zwycięzcy. W szkole nigdy nie widzieliście go takiego! On potrafi się uśmiechać – rzekł Mac.
- I co dalej? – zapytałem nagle, bo byłem po prostu ciekaw.
- Poszedł z tym wszystkim do skupu. Sprzedał butelki, papier i puszki.
- Sprawdźmy go? – spytał niespodziewanie Duży Mick.
- Dobra.

Gdy lekcje się skończyły, byliśmy gotowi do akcji – spokojni i pewni siebie.

Śledziliśmy Victora cały czas, aż do jego domu, gdzie zniknął na jakąś godzinę, by potem, nieoczekiwanie wyjść na ulicę z naręczem czarnych, plastikowych worków na śmiecie i ruszyć przed siebie krokiem pewnym, zdecydowanym, męskim... z nowym błyskiem w oku, jak gdyby za chwilę miał walczyć o wszystko.

Tym nas zaskoczył. Powalił na łopatki i przez chwilę trudno było cokolwiek powiedzieć.

Oszołomieni, patrzyliśmy...

Kiedy tak na niego patrzyliśmy, jak szedł dumnie ulicą, wszyscy pojęliśmy, że to nie mały, przeciętny chłopiec - już nim nie był, to się nagle zatrzymało.

Gdzieś nieoczekiwanie, po wyjściu z naszej toksycznej budy przeistoczył się w dorosłego mężczyznę, który miał w głowie jakiś jasny i przejrzysty plan, miał go na pewno – widać to było w każdym jego ruchu, wyraźnie i ewidentnie, jak kroczył pewną stopą po twardym chodniku, twardym, jak życie człowieka, które było wokół nas i nie oszczędzało nikogo.

Kiedy potem, ku potwornemu zdumieniu zauważyliśmy, że chodzi od śmietnika do śmietnika, jakby od tej czynności zależało całe jego życie, i wrzuca coś zapamiętałe do swych czarnych, foliowych toreb (tym czymś były butelki, puszki i papier), gdzieś nagle uleciało nasze zaskoczenie, nasz chwilowy podziw dla jego „przemiany”, i to, że przez chwilę myśleliśmy o nim, jak o kimś twardym i męskim.

Teraz był dla nas znów tym Victorem, którego znaleźliśmy ze szkoły – nikim specjalnym, chodząca pustką i życiową miernotą.

Pewnego dnia, kiedy wezwano mnie do psychologa szkolnego z powodu mojego, jak to ujęto, „*nieodpowiedniego i skandalicznego stosunku do nauczycieli i obowiązków szkolnych*”, doszło do apogeum...

Victor został dotkliwie pobity i wylądował u lekarza. Podobno upadając na ziemię coś sobie zrobił, bo chwilowo stracił głos. Sprawa wyglądała bardzo poważnie.

Tego samego dnia dwóch naszych kolegów, Steve i Mark, wylecieli z hukiem ze szkoły za tę całą aferę. Do dziś nie wiem, jak dyrektor wpadł na to, że to była ich sprawa. Może ktoś doniósł? Ale kto i dlaczego? Jaki miałby w tym interes?

Życie jest brutalne i obnaża bezlitośnie wszystkie nasze tajemnice i frustracje w chwili najmniej oczekiwanej, co sprawia, że owo zaskoczenie jest dla nas formą gwałtownej psychicznej lewatywy.

Tym razem ja wkroczyłem do akcji i sprąłem Victora, dając niepohamowany upust swym najniższym instynktom. Nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło.

Na drugi dzień byłem już niestety byłym uczniem naszego liceum – dyrektor z wrzaskiem i nienawiścią

w oku wywalil mnie bezlitośnie na zbity pysk w trybie natychmiastowym, nie słuchając nawet moich lipnych tłumaczeń i ignorując moje dobrze udawane łzy, które były czystym fałszem i nędzną grą kogoś, kto brzytwy się chwytą, tylko po to, żeby uratować chwilowo skórę i niedługo potem wrócić do tego, co robił poprzednio z gorliwością godną potępienia.

I tym razem nie dowiedziałem się, kto doniósł...

Miałem poznać prawdę dopiero po wielu latach, kiedy jedna z moich licealnych koleżanek, obecnie znana i szanowana lekarka, spotkana przez mnie przypadkowo na mieście, zwierzyła mi się, że to ona doniosła na tamtych dwóch i na mnie, bo szkoda jej było tego biednego, stłamszonego, dziwnego Victora i coś natychmiast kazało jej to uczynić. Nie czułem do niej żalu – wręcz przeciwnie – wdzięczność, bo zaczęła coś, co miało okazać się kolejnym rozdziałem mego burzliwego, dziwnego życia.

Kiedy dowiedziałem się całej reszty, poczułem się podle i nieciekawie.

2. JA, WIECZNY WĘDROWIEC

Moja koleżanka opowiedziała mi wtedy, po wielu latach, z rozbijającą szczerością, czemu na nas doniosła, co kazało jej to uczynić bez cienia wątpliwości. Była pewna, że musi to zrobić i to zrobiła. To był głos sumienia – tak to nazwała. Głos, którego się nie lekceważy. To nakaz.

Jej historia wstrząsnęła mną...

Kiedyś będąc przypadkowo w sklepie zauważyła w nim Victora, jak stał nieruchomo przy jednej z półek i patrzył beznamiętnie na czekolady, które piętrzyły się na wysokości jego oczu – patrzył długo i w miarę jak mijał czas, jego wzrok stawał się coraz bardziej smutny i pusty.

Wokół nie było nikogo – ruch w sklepie był znikomy.

Nagle ożywił się i drgnął. Obejrząwszy się kilka razy za siebie, gwałtownym ruchem sięgnął po słodycze i błyskawicznie wypchał nimi swe kieszenie aż po brzegi. Spokojnie podszedł do kasy i zapłacił tylko za chleb i masło, które miał w koszyku. Potem szybko zniknął. Nikt nie domyślił się niczego.

Nelly, bo tak nazywała się moja koleżanka, dodała, że wielokrotnie widziała w różnych sklepach, jak Victor kradł jedzenie.

Nigdy go nie wydała. Jego spotkał lepszy los niż nas, wyrzuconych dyscyplinarnie ze szkoły. Tu jej sumienie zadziało inaczej. Czyżby jego grzech był mniejszy?

Kiedy po latach rozmawialiśmy, Nelly była już od dawna lubianą i cenioną lekarką w naszym mieście, jak jej matka i ojciec, którzy pracowali w pobliskim szpitalu – on jako chirurg, ona zaś jako anestezjolog – równie cieszący się powszechnym szacunkiem.

Od nich dowiedziała się całej prawdy o Victorze i jego matce...

Nie bezpośrednio. Pewnego dnia podsłuchiwała ich rozmowę.

Nelly powiedziała mi wtedy szczerze i ze wzruszeniem w głosie, jak to było naprawdę, i kiedy tego słuchałem, błagałem w duchu, aby przestała, bo ja będę musiał z tym pozostać, a tego nie chciałem, będę zmuszony żyć z tą wiedzą, a to ciężar bolesny.

Lecz zanim to nastąpiło, minęło wiele lat, tysiące jałowych dni, w trakcie których bezskutecznie szukałem siebie i walczyłem z własnymi demonami, nawet nie czując, że od lat je w sobie noszę...

Kiedy wyrzucono mnie ze szkoły, tułałem po różnych innych, lepszych lub gorszych placówkach edukacyjnych, skąd także niebawem wylatywałem jak z procy za złe zachowanie, częste wagary i brak jakichkolwiek postępów w nauce, której szczerze nienawidziłem.

Zawsze miałem ciężki, przytłaczający, impulsywny charakter.

Byłem niezależny i bezkompromisowy – nikomu się nie kłaniałem.

Miałem sztywny kark i perswadowanie mi czegoś wbrew mej woli przypominało jazdę na martwym koniu, który nawet mocno smagany po zadzie, nie chciał ruszyć się z miejsca.

Miałem jakąś złą charyzmę, która w sposób niemal magnetyczny ściągała do mnie typy słabe, uległe i poszukujące siły.

Trudno było zdobyć moją sympatię, lecz bardzo łatwo było ją stracić.

Od dobrego słowa do kopniaka przechodziłem niezwykle lekko i gładko, nie odczuwając przy tym jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

Nikt nigdy nie dał mi rady – ani nauczyciele, z których się śmiałem w nos i których się nie bałem, ani ojciec, który mnie samotnie wychowywał po tym, jak moja matka uciekła pewnego dnia z kraju z jakimś bogatym Arabem, porzucając nas obu jak parę zdartych, brązowych butów, niewartych funta kłaków. Słabo ją pamiętałem, bo opuściła dom, kiedy miałem sześć lat.

Zrazu dopytywałem się ojca o nią dość często, o to, czemu jej nie ma z nami w domu, i zadając mu te wszystkie trudne pytania widziałem jakiś nieprzypadkowo smutny błysk w jego oczach, bo kiedy mi potem tłumaczył, że wyjechała w daleką podróż, która będzie długo trwała, ten jego wzrok mówił mi w jakiś niepojęty i niewyjaśniony sposób, że prawda jest inna i w tej chwili nie mogę jej poznać, gdyż jestem za mały, by to zrozumieć, ponieważ tylko dorośli znają się na takich sprawach.

Któregoś popołudnia zapytałem o nią po raz ostatni...

Ktoś tu musiał zawinić i tym kimś był dla mnie on.

Nasze wzajemne stosunki stały się wówczas bardzo napięte i potężne spięcie wisiało od wielu dni ciężko w powietrzu, bowiem przestałem ostentacyjnie na znak protestu i potępienia odzywać się do niego, chodzić do szkoły, choć byłem w klasie maturalnej.

Miałem w głowie bardzo mroczne pragnienia.

Ponieważ, jak już wcześniej wspomniałem, akurat kończył się rok szkolny i za kilka dni miała być matura, podjąłem kolejną przełomową decyzję – na złość ojcu nie przystąpię do egzaminu dojrzałości.

Tak też zrobiłem.

Im bardziej nalegał, tym bardziej ja się zawzinałem.

Wznosiłem mój mur nienawiści coraz wyżej i wyżej.

Któregoś pięknego, majowego dnia poszedłem do naszej znieawidzonej szkoły odebrać świadectwo ukończenia liceum i na tym miała na zawsze zakończyć się moja edukacja.

Kiedy w lipcu ojciec obchodził swoje urodziny, pamiętało o nim bardzo wiele osób – rodzina i przyjaciele – wszyscy oni składali mu najszczerze życzenia szczęścia i pomyślności, wszyscy oprócz mnie. Ja jeden zignorowałem ten dzień. On udał, że nic się nie stało, choć znałem go na tyle dobrze, aby mieć pewność, że bardzo go moje złośliwe zachowanie dotknęło.

Nie powiedział ani słowa...

Był najtwardszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem, ponieważ posiadał bardzo rzadką cechę – miał ogromne zdolności pedagogiczne i dyplomatyczne, albowiem natrafiając na odmienne zdanie i nie mogąc przekonać swego przeciwnika do swych racji, zgadzał się z nim, lecz czynił to tylko powierzchownie, ukrywając wewnątrz głębokie niezadowolenie, a nieraz nawet odrazę. Jednocześnie był człowiekiem wrażliwym i bardzo rodzinnym, nieco może nieufnym i długo obserwującym innych, trzymając się w rezerwie, aby w końcu wyrobić sobie jakieś o nich zdanie.

Czasem trudno było go zrozumieć: jako silny charakter – odważny i władczy – wobec innych potrafił wykorzystać wszystkie swe cechy, aby osiągnąć upragnione cele, które realizował z przedziwną łatwością,

gdyż był człowiekiem czynu, operatywnym i dynamicznym, niewahającym się podjęcia jakiegokolwiek ryzyka.

W stosunku do najbliższych – najpierw wobec żony, potem wobec mnie – okazywał niepojętą bezradność i słabość...

Nigdy tego nie zrozumiałem.

Był bardzo religijny, choć nie była to jakaś bigoteria czy inny ciemnogród.

Mój bunt poszerzyłem i o tę sferę naszego wspólnego życia – przestałem uczęszczać do kościoła z prostej przyczyny – skoro ojciec tam chodził, ja nie mogłem, lecz gdyby on przestał, ja bym zaczął.

Pewnego dnia poprosił mnie do swojego pokoju. Była zimna, sierpniowa noc, więc rozpałił w kominku.

- Siadaj przy stole – powiedział pewnym głosem i podniósł z podłogi pogrzebacz.

Czułem, że chce coś zrobić.

Wyglądał na bardzo zdecydowanego.

Czekałem...

- O co chodzi? – zapytałem nieco zaskoczony i lekko zaniepokojony widokiem metalowego przedmiotu w jego dłoni.

- Dlaczego to wszystko robisz? – padło pytanie jak cios młotem w potylicę.

- Co niby? – udawałem, że nie rozumiem.

- Wiesz, o czym mówię.

- Nie.

- Wiesz. Po co to wszystko? Nie masz jeszcze dość? To wszystko, na co cię stać, synu?

- Może – odparłem gburowatym tonem.

- To niewiele, to bardzo mało... Nie sądziłem, że będę musiał patrzeć na takie rzeczy. Byłeś kiedyś inny, dobry...

- Nie żartuj. Zawsze byłem i jestem sobą.

On popatrzył na mnie tym samym smutnym i przybitym spojrzeniem, które doskonale znałem z przeszłości i rzekł spokojnie, jakby chciał opowiedzieć mi o cudownej, przepięknej przyszłości, w którą wierzył, a która dla mnie nie istniała:

- Połóż rękę na stole...

- Że co?

- Połóż... - i powiedziawszy to, wsadził pogrzebacz w ogień i trzymał go tak długo, aż jego koniec rozgrzał się do czerwoności. Wtedy trzymając go mocno w dłoni, podszedł do mnie.

Patrzył mi głęboko w oczy. Nie padło wtedy żadne słowo. Nie cofnąłem ręki – nadal tkwiła rozcapierzona na blacie stołu. Chciałem być twardzielem, kimś równym jemu.

On wówczas zaczął powoli zbliżać do niej piekielnie rozpalony koniec pogrzebacza...

Nie spieszył się, trwało to długo, całe wieki. Gdy rozżarzona końcówka była już kilka centymetrów od mojej dłoni, wtedy stała się rzecz niesamowita – ojciec błyskawicznie położył swoją wielką dłoń na mojej i stanowczym ruchem opuścił na nią żarzący się metal.

Zaskwierczało, zasyczało, w nozdrza uderzył mnie swąd spalonego ciała.

Patrzyłem z przerażeniem na koszmarny stygmat...

Ojciec nawet nie drgnął – spoglądał mi tylko w oczy z tym samym dławiącym gardło, niewypowiedzianym smutkiem...

- Dlaczego?! – zawołałem nagle, lecz on nie odpowiedział.

Podszedł bez pośpiechu do kominka i oparł o niego pogrzebacz. Potem wyszedł gdzieś na dwór. Całą noc nie spałem. Wrócił nad ranem i usłyszałem, że zaparzył sobie kawę.

Potem, gdy zwlokłem się z łóżka, dostrzegłem, że jakby nigdy nic, robi coś przy motorze na podwórzu.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że w ten sposób mnie pokonał.

W ten drastyczny sposób chciał mi przekazać, jak bardzo mnie kocha i ile dla niego znaczę. Poczulem się szmatławym oszustem – nie byłem już mężczyzną.

Wtedy podjąłem decyzję...

Musiałem to zrobić, musiałem to zrobić, aby nie zwariować. Chciałem coś udowodnić sobie i jemu. Moje zdecydowanie zaskoczyło mnie samego.

Za pożyczone od kolegów pieniądze wyjechałem po cichu do Francji, do Paryża.

Kiedyś ktoś opowiadał mi, że jego brat wybrał takie życie. Teraz przypomniałem sobie tamtą historię. Postanowiłem zrobić to samo.

Po jakimś czasie zapukałem do drzwi jednego z punktów werbunkowych Legii Cudzoziemskiej.

Wszystkim, co zabrałem, była szczoteczka do zębów, trochę ubrań, dokumenty i zdjęcie ojca.

Byłem prawie bez grosza. Nie martwiło mnie to jednak. Marzyłem o tym, by dano mi „drugą szansę”.

Czasem marzyłem też o śmierci. Wciąż nie bałem się marzyć. Przede wszystkim chciałem odnaleźć siebie i po raz pierwszy poznać siebie prawdziwego, wydobyć go z tej martwej, złej skorupy, pod którą gniła moja dusza. Tak naprawdę, tak do bólu.

W szkole miałem przez wiele lat francuski i teraz nagle okazał mi się niezwykle przydatny, wprowadzie i bez niego mogło mi się udać.

W Paryżu szybko odnalazłem punkt rekrutacyjny, w którym zadeklarowałem swą chęć przyjęcia do Legii i po zakwaterowaniu i nakarmieniu, po paru dniach przewieziono mnie do Aubagne (około 15 kilometrów od Marsylii), gdzie szybko zostałem poddany serii testów psychotechnicznych i lekarskich, co zakończyło się dla mnie pomyślnie, choć na jedno miejsce przypadało ośmiu kandydatów.

Podpisano ze mną wstępny kontrakt.

Dostałem swoją „drugą szansę” – możliwość absolutnej zmiany dotychczasowego życia, poznania rzeczy nowych, o których mi się nawet nie śniło, zintegrowania się w zupełnie mi nieznanym środowisku. Obyło się bez zbędnych formalności administracyjnych. Dostałem dokumenty na nowe nazwisko.

Teraz nazywałem się Henry Le Bon i miałem obywatelstwo francuskie, co gwarantowało mi pełną anonimowość.

Ponieważ nie posiadałem ekstremistycznych przekonań politycznych, nie chodziło mi o pospolitą chęć zysku, ani też nie miałem tatuaży, ani blizn po samookaleczeniu, specjalna komisja podjęła rychło decyzję o definitywnym przyjęciu mnie, co zakończyło się podpisaniem kontraktu na pięć lat.

Po czteromiesięcznym szkoleniu podstawowym w okolicach Tuluzy, zostałem przeniesiony do 2 Cudzoziemskiego Regimentu Powietrzno-Desantowego, należącego do 11 Brygady Powietrzno-Desantowej, do *zielonych беретów*, najbardziej prestiżowej jednostki Legii Cudzoziemskiej, owianej sławą i legendą, z którą potem wysłano mnie na wojnę w Algierii.

Był rok 1958...

Brałem udział w działaniach antypartyzanckich, walcząc o honor Francji.

Zobaczyłem wojnę na własne oczy, lecz nie uląkłem się – pokonałem strach.

Wtopiłem się łatwo i szybko w świat, w którym trzeba było przeżyć i nie dać się zabić.

To nie było miejsce dla zalęknionych mięczaków, ani romantyków z głowami w chmurach.

Poznałem, co to śmierć, bo widziałem ją wiele razy i otarłem się o nią sam pewnego, czerwcowego dnia, kiedy obok naszego oddziału wybuchła nagle bomba. Zginęło wtedy kilku moich kolegów Niemców i jeden Anglik. Dla nich ta przygoda się skończyła. Zapłacili najwyższą cenę. Co jakiś czas ginął jakiś bezimienny bohater, ktoś z nas. Ja sam miałem przedziwne szczęście „przechodzić między kulami” – przez całe pięć lat, kiedy to walczyłem w Algierii, biorąc udział w krwawych, zażartych walkach z wrogiem, nawet włos mi nie spadł z głowy, nawet nie nabiłem sobie małego siniaka. Wciąż żyłem. Oddychałem.

Witałem kolejny dzień. Nie padłem na polu bitwy, choć mogło to nastąpić w każdej chwili.

Będąc żołnierzem, nigdy nie dopuściłem się czynu niegodnego legionisty – nigdy też nie uczyniłem niczego, co powracałoby później ciężkim wyrzutem sumienia...

Pierwszy raz w życiu byłem z siebie dumny. Już sobą nie gardziłem.

Gdzieś nagle zniknęła moja despotyczna, agresywna natura – wojna, umieranie i nieustanne rodzenie się każdego, następnego dnia do życia, nauczyło mnie wiele, więcej niż nauczyć by mogła jakakolwiek, nawet najlepsza szkoła.

Zmieniłem się nie do poznania...

Rozerwałem na kawałki martwą, złą skorupę, która mnie dotąd krępowała – mnie i moje człowieczeństwo. Teraz byłem bardziej spokojny, opanowany i szanowałem innych, nawet ich nie lubiąc lub nie podzielając ich poglądów. Tolerancja to bardzo trudna rzecz.

Ktoś mi powiedział na odchodnym, że chciałby kiedyś mieć takiego syna jak ja...

To było miłe i budujące.

Złagodniałem...

Spojrzałem na wszystko z innej strony. Oczami kogoś, w kim nie ma już gniewu.

Moja dzika natura potrzebowała takiej lekcji i cieszę się, że w porę poszedłem za głosem intuicji. Może trzeba przeżyć wstrząs, aby poczuć w sobie życie i zmartwychwstać z pustego, jałowego marazmu, który był niczym innym jak tylko marnowaniem cennego czasu?

Sam nie wierzyłem, że udało mi się wyjść z tego cało. Na moich oczach padło tylu dzielnych, wartościowych chłopców, że można by z nich utworzyć małą armię.

Było wśród nich wielu weteranów kampanii w Indochinach, gdzie nie przyszło im spotkać się ze Stwórcą – do wiecznego snu mieli położyć się na wrogiej, afrykańskiej ziemi.

Im nie dane było wrócić do domu, mnie tak.

Byłem szczęściarzem.

Byłem mężczyzną...

W miarę, jak mój kontrakt dobiegał końca, coraz częściej myślałem o nim – o moim ojcu, którego zostawiłem w dalekim kraju w chwili, kiedy bliski byłem obłędu.

Wracałem do niego, trzymając w dłoni zdjęcie. Ktoś zrobił je dawno temu. Jego uśmiech – mogłem patrzeć na niego cały czas. Był szczery i bardzo naturalny. Była w nim cała jego szlachetność.

Niebawem szedłem już główną ulicą naszego miasta, opuściwszy Francję na zawsze.

Uczyniłem to w połowie maja 1963 roku, rok po tym, jak zakończyła się wojna algierska.

3. NIEOCZEKIWANE...

Kiedy zobaczyłem ojca, poczułem potężny ścisk w gardle.

On przecierał oczy, jakbym był zjawą.

Gdy już je przetaił, dostrzegłem w nich łzy...

Wcale się nie zmienił – wypalony stygmat był teraz jasnoróżową blizną, pamiątką po złym czasie, którego nigdy nie powinno być.

Postawiłem mój plecak na ziemi i wtedy spontanicznie to się stało – padliśmy sobie w ramiona i jak dzieci, obaj zapłakaliśmy.

Kiedy opowiedziałem mu później moją historię, przyjął to po swojemu – spokojnie i po męsku.

Czułem, że mi wybaczył, że przez te lata, kiedy mnie nie było, każdego dnia czekał na mój szczęśliwy powrót. Wielką radością było dla niego to, że się zmieniłem. Wyczuł to natychmiast i ja poczułem, że on

to czuje. Ten czas bez mnie nie był dla niego łatwy.

Setki razy stał w oknie w niemym oczekiwaniu, wypatrując mnie na próżno. Pomimo tego, że nie nadchodziłem, on wciąż miał nadzieję.

Nie pamiętam, jak to ująłem, ale powiedziałem mu, jak się wtedy czułem, i że musiałem umrzeć dla świata i dla siebie samego, aby się znów narodzić.

W jego spojrzeniu kryła się odpowiedź – był ze mnie dumny i podziwiał mnie tak, jak ja kiedyś podziwiałem jego za to, kim był i za cechy, których ja sam nie miałem.

- Byłeś dobrym żołnierzem, prawda?

- Tak, tato, chyba tak...

- Możesz teraz spać spokojnie, hm?

- Mogę.

- To najważniejsze, że pokochałeś sam siebie. Bez tego zawsze byłbyś martwy.

- Musiałem przejść przez to wszystko, i gdybym miał raz jeszcze wybierać, zrobiłbym dokładnie to samo. Z małym wyjątkiem – powiedziałbym ci o tym przed wyjazdem.

- To miłe, co mówisz. Takiego cię zawsze chciałem, takiego sobie wymarzyłem. Dzięki, synu, dzięki, Mike... Ty naprawdę musiałeś tam pojechać.

- Tak – odparłem. – Nie było innej drogi.

Lecz najważniejsze było dopiero przed nami...

Przedemną i przed nim...

I przed kimś jeszcze...

Paradoksalnie wojna w Algierii nauczyła mnie miłości, szacunku dla drugiego człowieka i poświęcenia. To wyniosłem z pola bitwy i z pobytu w Legii Cudzoziemskiej, gdzie wpojono mi wiele szczytnych zasad, takich jak: honor, odwaga, ojczyzna, lojalność...

W końcu zrozumiałem, że można być jednocześnie dostojnym i skromnym, a na polu walki działać bez pasji i nienawiści, szanując pokonanych wrogów, do końca trwać przy zabitych i rannych kolegach, jako towarzyszach broni i braciach, którym należy się opieka i pomoc w najtrudniejszych chwilach zagrożenia życia, nawet za cenę własnego. To nie były dla mnie pusto brzmiące słowa. To określiło mnie i to, kim się dzięki nim stałem.

Poza odnalezieniem siebie i silnego poczucia godności własnej, odnalazłem coś jeszcze – Boga, od którego odwróciłem się w tak głupi i dumny sposób w przypływie szczeniackiej złośliwości.

Często podczas walk, w ostrym ogniu, wśród wybuchów i umierających na moich oczach ludzi, w duchu modliłem się do Niego, żeby pozwolił mi przeżyć, żeby dał mi szansę być prawdziwym człowiekiem, i żebym mógł wrócić cało do rodzinnego domu i zobaczyć znów mego ojca.

Czułem, że nie jestem sam.

Ktoś Większy niż my wszyscy był wtedy ze mną i nie pozwolił, aby moi wrogowie zatriumfowali, odbierając mi życie.

Lecz nie tylko mnie Bóg pomógł przez te wszystkie lata – mój ojciec także otrzymał swój własny „prezent” od losu, którego na pewno jeszcze za mojego pobytu w kraju wcale się nie spodziewał.

Pewnego dnia dostał urzędowe pismo, stwierdzające zgon jego małżonki, a mojej matki, która jak się okazało nie wyjechała wcale za granicę z tamtym Arabem. Nigdy nie opuściła kraju.

Ów egzotyczny kochanek zapewne pewnego, pięknego dnia, jakby nigdy nic, opuścił ją bezlitośnie, hołdując swym poligamicznym skłonnościom, i wtedy postradała zmysły, porzucona przez niego jak niepotrzebna, zużyta zabawka.

Przeczytawszy akt zgonu, ojciec postanowił pojechać do miasta, gdzie zmarła i dowiedzieć się czegoś bliżej. Tam usłyszał bolesną i szokującą prawdę o tym, że przez wiele lat przebywała w szpitalu psychiatrycznym, na oddziale dla chronicznie chorych pacjentów.

Zmarła tego samego dnia, kiedy wyjeżdżałem do Francji.

Ojciec miał inny plan, o wiele bardziej zaskakujący i niecodzienny.

Kilka miesięcy po tym, jak zniknąłem z domu, przyrzekł sobie, że jeśli nie wrócę do jego pięćdziesiątych urodzin, tj. do 17 lipca 1963 roku, on upoważni rodzinę do tego, aby po moim powrocie (zawsze wierzył, że pewnego dnia muszę wrócić) oddała mi klucze do naszego domu i akt darowizny, który zostanie sporządzony dokładnie w dniu jego urodzin, i w którym on uczyni mnie legalnym właścicielem całego swego majątku.

Jakże silną wiarę musiał mieć, skoro posunął się do takiego kroku. Jakże mocno musiał wierzyć, że rzeczywiście wrócę kiedyś do domu.

Powiedział mi prosto i jasno:

- Coś mi mówiło, że tak będzie, że Bóg mnie wysłucha... - rzekł przejęty.

I wysłuchał.

Wtedy powiedział mi wszystko, spokojnie, przyciszonym nieco głosem:

- Gdybyś nie wrócił przed lipcem, nie spotkałbyś mnie tu... Mnie by tu już nie było.

Byłbym bardzo daleko, w mieście B., dokąd się wybieram już od kilku lat... Moja decyzja jest nieodwołalna. Dawno temu podjęta. Nic już w niej nie zmienię. Jestem pewien, że jest właściwa i słuszna. Przez ten czas, kiedy byłeś poza domem, wiele się pozmieniało, wiele się zmieniło we mnie. W zasadzie wszystko.

- Nie rozumiem, co mówisz – byłem naprawdę mocno poruszony tymi zagadkowymi słowami.

Poczułem wtedy coś, co nazwałbym lękiem...

- Chodzi o to, że dużo myślałem, bardzo dużo... i czułem, że w moim życiu nastąpią zmiany, których jeszcze, kiedy tu byłeś, nie spodziewałem się. Same dokonały się w sercu i umyśle. Wiedziałem, że muszę iść nową drogą, bo coś się kończyło, tak jak ty poszedłeś wtedy swoją. Dotarło do mnie, że przeżyłem już część życia w pewien sposób, który już mi nie wystarczał, już nie cieszył i pozostawiał jakąś gorycz niespełnienia. Chciałem otrzymać znak. Znak, mówiący mi, że mam rację i to wszystko będzie miało sens i nie jest tylko przejściowym stanem mego umysłu i duszy.

- Nadal nie mówisz mi wszystkiego... - niecierpliwiłem się.

Ojciec popatrzył na mnie poważnie i rzekł:

- Powiem ci w dzień mych pięćdziesiątych urodzin.

Ponieważ zarobiłem sporo w Legii przez te pięć lat, nie szukałem na razie pracy.

Mogłem sobie na to pozwolić.

Postanowiliśmy zrobić remont domu. Właściwie to był jego pomysł. Ojciec bardzo na to nalegał – wiedziałem to w jego oczach, słyszałem w pełnych pasji słowach. Chciał odmalować wszystko i wymienić okna na nowoczesne, bo te ponoć były już nieszczelne i zimą wpuszczały chłód do środka.

- Wszystko ma być jak nowe – mawiał bez przerwy, podniecony.

- Ale nie jest źle. Zawsze bardzo dbałeś o nasz dom - odpowiadałem mu wtenczas.

- Chcę ci go zostawić w doskonałym stanie - wyrwało mu się któregoś dnia.

Zrobiliśmy remont, a potem... potem nadeszła ta przedziwna chwila.

Jego pięćdziesiąte urodziny – dzień, którego nigdy nie zapomnę.

Jego ostatnie urodziny w domu.

Wstał przede mną i spakował swoją walizkę, po cichu, nie robiąc zamieszania. Nie chciał mnie budzić.

Brał ze sobą naprawdę niewiele – tylko to, co niezbędne.

Nagle usłyszałem, że chodzi już po domu i natychmiast wyskoczyłem z łóżka.

Ubrałem się szybciej, niż to czyniłem na wojnie w Algierii, i po chwili byłem obok niego.

- Gotowy? – zapytał w sposób, w jaki pyta się często w sytuacjach, które mogą być dla innych wstrząsem.

- Tak.

- To jedziemy do notariusza – oznajmił.

Tamtego dnia, 17 lipca 1963 roku, mój ojciec oddał mi wszystko, co zdobył w swym udanym, pełnym sukcesów i zwycięstw, dotychczasowym życiu, lekko i bez wahania, z naturalną radością, której szczerść powalała i nakazywała szacunek. Plon swej ciężkiej pracy.

- To jest od tej pory twoje – powiedział, kiedy byliśmy z powrotem w samochodzie. – Dbaj o wszystko, jakbyś dbał o swego, własnego ojca. Jesteś prawdziwym mężczyzną. To będzie teraz twoje życie.

- Nadal nie wiem, co planujesz – głos łamał mi się, kiedy to mówiłem.

- Zawieź mnie na stację. Za godzinę mam pociąg do B. i nie mogę się spóźnić. Ktoś tam już na mnie czeka - zakończył tajemniczo.

- Kto? – zapytałem z przerażeniem, jakiego ani razu nie poczułem na wojnie.

- Bóg - odparł spokojnie.

- Jak to Bóg?

- Porzucam to życie. Za jakiś czas powiesz, że twój ojciec jest księdzem.

- Co?

- Resztę czasu na ziemi postanowiłem przeżyć inaczej. Służąc innym. Dostałem znak, na który czekałem tyle lat – wróciłeś cało do domu i od tamtej pory wiedziałem, że obieram właściwą drogę. Dziś już wiem, czym jest powołanie. To nie my wybieramy Boga, ale On nas.

- Naprawdę to zrobisz?

- Tak. Chcę tego. Przygotowywałem się do tego dnia całe lata. Uszanuj moją decyzję. Ja też muszę umrzeć dla świata, by na nowo się narodzić. Nie rozstaję się z tobą. Będziemy się widywać, lecz może już nieco rzadziej.

- Kiedy cię znów zobaczę? – zapytałem jak zaleknione dziecko.

- Kiedy to będzie tylko możliwe. Będę przyjeżdżał do ciebie.

- Trzymaj się. Trzymaj się mocno.

- I ty też - rzekł swoim matowym, spokojnym głosem, wspinając się lekko na podest pociągu. – I pamiętaj – jestem z tobą! Chwyć życie za kark i pnij się w górę! Wiem, że zajdziesz daleko. Po prostu to wiem, synu.

Potem odjechał, a ja usiadłem zdruzgotany na zimnym, betonowym chodniku naszego dworca kolejowego i płakałem jak ktoś, z kim życie obeszło się okrutnie, dając coś na krótką chwilę i odbierając. Było mi źle i nie było na to słów.

Gdy później byłem już w domu, odkryłem nagle, że na kuchennym stole leży jakaś paczka, zawinięta w szary papier.

Kiedy ją otworzyłem, znalazłem tam duży, drewniany krzyż i kartkę, zapisaną pismem mego ojca...

Pisał, że przez te pięć trudnych lat, kiedy mnie nie było w domu, nieustannie umierał ze strachu, tracił zmysły i modlił się codziennie, żeby nic mi się stało, gdziekolwiek wtedy byłem, żebym w końcu cało wrócił w rodzinne strony. I kiedy pewnego dnia stracił wiarę, że mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczy żywego i uległ chwili zwątpienia, która spadła na niego jak diabelski grad mroku, wtedy stało się coś dziwnego i niepojętego – poczuł obok siebie przedziwny spokój i dobro, które zdawało się cicho szeptać do niego, że nic mi się nie stanie, że ocalać życie i wrócę do niego. Czuł to potem wielokrotnie. To nie

odeszło, nie zniknęło, lecz pozostało z nim.

4. MY WSZYSCY

Po sześciu latach, które przeszły mi na spokojnej pracy w tartaku, postanowiłem nagle spróbować czegoś nowego – zebrawszy odpowiednią kwotę pieniędzy, nabyłem pewnego, pięknego dnia, jakby nigdy nic, moje byłe miejsce pracy i stałem się jego właścicielem.

Teraz miałem kilku pracowników i dużo czasu dla siebie. Mogłem posmakować innego życia.

Ojciec przyjeżdżał do mnie, kiedy tylko mógł – spełnił to, co obiecał.

Kiedy napisał mi, że niebawem odbędzie się jego msza prymicyjna, pojechałem do B. i z dumą wziąłem w niej udział.

Patrząc na niego z jednej z drzemiących w cichym uśpieniu ławek kościelnych, nadal nie wierzyłem, że ksiądz, który stoi na ołtarzu, to mój, własny ojciec.

Twardziel, prawdziwy mężczyzna, mój ideał, od teraz sługa boży – ksiądz Joseph.

Wzruszyłem się i trudno mi było wracać do domu, w którym go już nie było.

Na ścianie wisiał tylko drewniany krzyż, który mi zostawił w dniu swego wyjazdu.

Jakiś czas go potem nie widziałem.

Nie mógł mnie odwiedzić. To przecież nie od niego zależało.

Wtedy, niby przypadkowo, w dzień, jakich wiele, ani lepszy, ani gorszy, spotkałem na ulicy Nelly, moją koleżankę z liceum, tę znaną w mieście lekarkę, która otworzyła mi szeroko oczy na wiele spraw z przeszłości.

Przede wszystkim na sprawę Victora... i jego matki.

Ta prawda mną wstrząsnęła.

Odkąd zmarł jego ojciec, w domu zapanowała bieda i życie stało się koszmarem. Nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami, więc któregoś dnia jego smutny świat stał się jeszcze bardziej czarny i ponury – w dzień, kiedy dowiedział się, że jego matka ma raka.

Pracowała gdzieś dorywczo za jakieś nędzne grosze, z trudem wiążąc koniec z końcem.

Wtedy Victor zaczął zbierać puszki, butelki i gazety i sprzedawał to, aby pomóc swej matce.

Stał się małym ojcem rodziny – małym wojownikiem o zwykły, szary dzień.

Kiedy trzeba było, kiedy niewiele zarobił, kradł w sklepach.

Musiał to robić, bowiem dobro matki było dla niego najważniejsze.

Nagle życie zmusiło go do tego, aby błyskawicznie stać się dorosłym mężczyzną.

Matka miała tylko jego, a on miał tylko ją i całe to podłe, koszmarnie życie w cieniu wiecznej, przytłaczającej biedy i jej nieuleczalnej choroby, która każdego dnia pożerała łączywie i nieodwracalnie jakąś część jej wątłego, mizernego zdrowia, brutalnie przybliżając w czasie dzień tragicznego rozwiązania.

Nastąpiło ono pewnej nocy w szpitalu, w którym pracowali rodzice Nelly, rok po tym, jak wyjechałem do Francji.

Wówczas zgasło jej życie.

Razem z nim umarło coś w Victorze.

Przez jakiś czas nie widywano go wcale – prawdopodobnie miesiącami nie opuszczał domu, w którym szczerze zaciągnął wszystkie zasłony.

Potem nagle pojawił się na cmentarzu, gdzie pochowano jego matkę.

Ktoś później mówił, że stał tam nieruchomo pół dnia i nawet na moment nie drgnął.

Któregoś dnia, kiedy chowano pana Stevensa, pocziwego, spokojnego aptekarza, który zmarł nagle na atak serca, wszyscy przybyli na pogrzeb zauważyli ku swemu zdziwieniu, że jednym z grabarzy jest... Victor, ten sam Victor, którego matka spoczęła w poświęconej ziemi jakiś czas temu.

Tak wyglądał jego ponury powrót do rzeczywistości. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji – działał jak automat, beznamiętnie i obojętnie. Podobno bardzo mało mówił, właściwie prawie wcale.

Poza pracą na cmentarzu, bardzo rzadko pojawiał się na mieście.

Miał teraz długą brodę i wąsy i wyglądał jak zdziczały pustelnik.

Kiedyś, kiedy żyła jeszcze jego matka, był w naszym kościele ministrantem.

Od jej śmierci nikt nigdy nie widział go już na niedzielnej mszy.

Nelly miała raz okazję z nim dłużej porozmawiać, tylko jeden, jedyny raz, kiedy to przypadkiem była na cmentarzu, by odwiedzić grób dziadka i wtedy zauważyła, że on siedzi na małej, drewnianej ławce, którą postawił przy mogile swej matki i patrzy pustym, nieruchomym wzrokiem na jej pośmiertny medalion.

Tego dnia nie było żadnych pogrzebów, więc pewnie miał dużo wolnego czasu i to właśnie skłoniło moją koleżankę, oprócz zwykłej chęci zamienienia z nim kilku słów, do zadania mu kilku pytań, które musiały ją nachodzić od dawna, skoro zdecydowała się na tę rozmowę.

Nawet nie poruszył się, kiedy cicho przysiadła się do niego, nawet na nią nie spojrział.

Patrzył dalej przed siebie i milczał.

Nelly zapytała go wówczas, jak sobie radzi, po tym wszystkim, co przeszedł.

- Tu jest moje miejsce. Nic mi nie trzeba. Wciąż jestem jej potrzebny. Będę tu przychodził codziennie, aż do końca życia. Mam tylko ją, a ona mnie.

I potem dodał, że nie wierzy już w Boga. Od dnia, kiedy zabrał mu matkę.

Kiedy pewnego dnia odwiedził mnie ojciec, zapytałem go:

- Pamiętasz Victora?

- Tak. Bardzo dobrze. Stracił matkę. Miała raka. Życie obeszło się z nim niezwykle okrutnie.

- Jest z nim niedobrze...

- Co masz na myśli? – spytał z troską w głosie mój ojciec.

- On tylko istnieje. Dawno temu umarł... - rzekłem z powagą i smutkiem.

- Załamał się?

- Gorzej.

- Czy można mu jakoś pomóc?

- Nie wiem. On stracił wiarę.

Słyszając te słowa, mój ojciec zasępił się i jakby mocno nad czymś rozmyślał.

Jakiś czas nic nie mówił.

Potem powiedział:

- Nigdy nie jest za późno, synu... Nigdy nie jest za daleko, by odnaleźć Boga. Skoro nam się to udało, może i jemu się uda? Czasem On daje nam bolesne, trudne i dotkliwe lekcje, ale my powinniśmy pamiętać, że może jest w tym bardzo głęboki sens – może są wśród nas tacy, którzy mają poznać Go poprzez cierpienie, upadek i powrót do życia.

Nie każdy dochodzi do wiary tą samą drogą. Może upadamy po to, by się później dźwigać jeszcze silniejszymi i twardszymi? Nasze czyny za życia brzmią echem w wieczności.

I mówił tego dnia jeszcze wiele – o nim, o nas, o sobie, o życiu i o świecie. W każdym jego słowie była

siła i moc. Powalająca wszechmoc i potęga prawdy.

Siedziałem i jak zaczarowany, słuchałem...

A on opowiadał z pasją, uśmiechnięty, szczęśliwy i wolny. Zawsze lubił o czymś opowiadać.

Umiał to robić doskonale. Temat nie był ważny. Promieniował własnym, dobrym światłem.

Był taki od zawsze, odkąd pamiętam. Wiem, że sprawdziłby się na każdym odcinku życia, gdziekolwiek los by go rzucił. Bo uczciwość to skarb i on go posiadał. I odwagę, która idzie w parze z nią.

Wtedy pomyślałem też, że jest najsilniejszym i jednocześnie najdelikatniejszym mężczyzną, jakiego w całym swoim życiu spotkałem i właśnie w tamtej chwili wiedziałem już wszystko.

Kiedy mu potem o tym powiedziałem, odrzekł spokojnie, po swojemu:

- Wiedziałem, że mnie o to poprosisz. Wiedziałem o tym od samego początku...

Uśmiechnąłem się...

Spojrzałem na niego i poczułem, czym jest istota dobra.

Ja także czegoś byłem pewny, jak rzadko bywa się w życiu.

Jeśli istniał ktoś, kto mógł pomóc Victorowi, lub komukolwiek innemu w podobnym do jego położeniu, tą osobą mógł być tylko jeden człowiek.

Jeden, jedyny...

Mój ojciec...

Ksiądz Joseph...

15 grudnia 2016

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 05.01.2017 11:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.